№ 3 WARSZAWA, DNIA 18 STYCZNIA 1913 ROKU ROK III

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

Książę Józef Poniatowski.



W roku obecnym, 1913, przypada rocznica tragicznej śmierci księcia Józefa Poniatowskiego, postaci opromienionej nimbem męstwa, waleczności, szlachetności, piękności, — bohaterstwa! Jest to jedna z tych postaci, która ciągnie ku sobie serca polskie nawet teraz, z poza grobu, postaci ukochanych, uwielbianych, o któ-

rych powstają legendy i pieśni, które są źródłem utworów literackich, które świecą przykładem wielu, wielu pokoleniom, których słowa, wymówione w pewnych chwilach, przechowywane są w narodzie, jak relikwie.

Niema zapewne między moimi czytelnikami takich, którzyby nie wiedzieli, kim był książę Józef, lecz niema też zapewne nikogo, ktoby nie chciał poznać szczegółowiej życia tego wielkiego bohatera narodowego i dlatego, opierając się na dziełach historycznych, nieco opowiedzieć wam o ks. Poniatowskim pragnę.

Józef Poniatowski urodził się 7 maja w r. 1763, ojciec jego, Andrzej, rodzony brat późniejszego króla polskiego, Stanisława Augusta, służył przy dworze austrjackim, gdzie dorobił się wysokich urzędów, zaszczytów i tytułu książęcego.

Tytuł książęcy otrzymał oprócz tego w rok po urodzeniu syna, Józefa, gdy po elekcji Stanisława Augusta cała rodzina Poniatowskich na sejmie koronacyjnym warszawskim otrzymała tytuł dziedzicznych książąt polskich.

W dziesiątym roku życia książę Józef stracił ojca i został pod opieką matki, Teresy z Kińskich, która obdarzała jedynaka gorącem przywiązaniem Stałym też opiekunem od tego czasu był stryj ks. Józefa, król polski, Stanisław August. Otaczał on swego bratanka nietylko opieką materjalną, która była bardzo potrzebną, gdyż majątek księżnej Poniatowskiej nie odpowiadał tytułowi książęcemu, lecz nadto dbał bardzo o wychowanie młodego księcia i osobiście wchodził w różne drobne szczegóły jego życia: kazał sobie donosić o jego przewinieniach, odznaczeniach, postępach i t. d.

(D. c. n.).



POSELSTWO POLSKIE U KRZYŻAKÓW.

Z POEMATU WŁADYSŁAWA SYROKOMLI p. t. «MARGIER».

DOKOŃCZENIE.

Rycerz skończył poselstwo — a wielki mistrz mówi:
— «Szlachetny Leliwito! odpowiedz królowi,
Że się sądy rycerskie odbywają krwawo,
Że trąba bywa woźnym, a berdysz rozprawą,
I żeśmy nie przywykli staroświeckim torem
Trudzić Ojca świętego marnym rozhoworem,
Lecz jeśli taka wola, niech zadość się stanie,
I dwa bitne narody, jakby dwaj mieszczanie,
O kawał spornej miedzy, o niedobre słowo,
Pójdziem do pana wójta na sprawę sądową,
My wypełnimy wszystko, co papież rozkaże,
Niech zatargi rycerskie sądzą bakałarze,

Nasz zakon, jak posłuszne zakonowi dziecię,
Przyjdzie na czas i miejsce, jako wskazujecie.
I w cesarskiem i boskiem prawie wyćwiczony,
Ojciec Jakób z Arnoldu stanie z naszej strony,
Będzie przekładał prawo, na którem my stoim,
A które obelżywie nazwałeś rozbojem.
Lecz nie myślcie, Polacy, że sąd jaki zdoła,
Uszczuplić posiadłości Pańskiego kościoła;
Co dzierżym w imię Boże, albo prawem miecza,
To nam kościół zapewnia, cesarz zabezpiecza;
Bo wszystkiemi krajami chrześcijańskiej ziemi,
Włada cesarz niemiecki z prawami swojemi,
I ja mnich w swej pokorze i twój król w swej chwale,
Jesteśmy tylko jego pokorni wasale.
A Dobrzyń i Kujawy, Prusy i Pomorze,
Co się wzięło na Litwie, walcząc w imię Boże,
Kraje nadane dawniej, lub zdobyte świeżo,
Nie do nas, lecz do władzy cesarskiej należą;
A gdy cesarz do siebie należące kraje,
Kościołowi bożemu wieczyście nadaje,
My pokorni szafarze, służebnicy prości,
Nie mamy praw uszczuplać kościelnej własności;
A ktoby coś zamierzył, lub działał w tym względzie,
Wedle świętych kanonów niech wyklętym będzie!..
A na kogo włożono takie anatema,
Nawet w mocy Piotrowej rozgrzeszenia niema.
Dochować z wami przyjaźń, trwam w ciągłym zamiarze,
Ale sumienie moje jeszcze więcej ważę.
Nie chcę, aby mi klątwa ciążyła nad głową,
Rycerzu Leliwito! masz ostatnie słowo.»

Umilknął—twarz rycerza szlachetna i śmiała,
Z oburzenia pobladła i znowu skraśniała;
Na rękojeść szablicy oparta dłoń posła,
Ścisnęła się gwałtownie, jak gdyby przyrosła
Do srebrnej rękojeści—jakby jednym razem,
Miała błysnąć przed oczy hartownem żelazem.
Ale Jaśko z Melsztyna, posiwiały w radzie,
Pamięta, że poselstwo obowiązki kładzie,
Że temu nie przystoi okazać gniew żywy,
Kto przychodzi z pokojem i różczką oliwy;
Więc chociaż oburzony aż do głębi ducha,
Choć mu gniew pała w oczach i z twarzy wybucha,
Odpowie cichym głosem, z łagodną postawą:
— «Szlachetny Wielki Mistrzu! czy oręż, czy prawo
Ma dochodzlć słuszności — ja się tem nie trudnię;
Lecz po co imię Boże wspominać obłudnie?
Czy kościół Chrystusowy wspomagać należy
Owocem wiarołomstwa lub chciwej łupieży?—
Król polski, panujący w potędze i chwale,
Nie liczy się pomiędzy cesarskie wasale;
A jeśli, jak mu każe Chrystusa nauka,
Przez pobożność w podwoje apostolskie puka,
Wy się przeto nie karmcie daremną otuchą,
Że miecz jego do pochew przyrosnął na głucho.
Dziś przybyłem na sprawę wezwać zobopólną,
Dziś rękawicy boju ciskać mi nie wolno;
Lecz gdy króla mojego wywołacie zgrozę,
Inne może poselstwo w te mury przywiozę.»

— «Przyjmiemy was, przyjmiemy, rycerzu z Mielsztyna,
Spełnim, czego się po nas wasz król dopomina,
W świętej kościelnej sprawie, za pierwszem wołaniem,
Czy orężem, czy piórem do rozprawy staniem:
Kto jest bożym rycerzem, tego w każdej chwili,
Ni prawo nie pokona, ni miecz nie omyli.»

Rzekł Rudolf, książę saski, z komturów najstarszy,
Zalecony orężem i ze krwi monarszej,
Co mu w piersiach płynęła—Krzyżacy go zową
Starego Altenberga ramieniem i głową,
A raczej zwaćby duchem nienawistnym w radzie,
Co złe myśli do głowy i do serca kładzie.

— «Bóg—odrzekł Leliwita—Bóg słuszność wymierzy,
Bóg wskaże, kogo uznał za swoich rycerzy,
Kto cześć jego imienia pielęgnuje lepiej,
Kto świętą jego wiarę obszerniej zaszczepi...
Tymczasem Wielki Mistrzu, starszyzno i wodze,
Spełniłem rzecz poselstwa w polubownej drodze.
Czyńcie, jak wasza wola, jak wasza uwaga:
Król mój pragnie pokoju, ale go nie błaga.
Chcecie wojny, toć na was upadnie jej wina,
Bóg was żegnaj, Krzyżacy!...»



POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował J. Szczawiński.

Ciąg dalszy.

Monsard zaczął przeglądać pozostałe szczątki, w nadziei, iż znajdzie może trochę żywności. Nie znalazł jednak czego szukał, lecz coś innego, mianowicie małą pomocniczą łódeczkę, której używano przy wylądowywaniu pojedyńczych osób. Łódka, wraz z przymocowanemi wiosłami była zupełnie nieuszkodzona; pod ławeczką zaś leżało zawiniątko z ciepłą odzieżą, którą prawdopodobnie zostawił przewoźnik. Jakkolwiek śmiesznem się mogło zdawać, w takiej łupince puszczać się na wzburzone morze, musieli się jednak na to zdecydować. Tonący brzytwy się chwyta – sprawdziło się tym razem stare przysłowie. Nie pozostawało nic innego do wyboru, jak tylko o głodzie i pragnieniu oczekiwać śmierci, albo próbować na tej małej łódeczce dobić do najbliższej, prawdopodobnie zamieszkałej, wyspy koralowej.

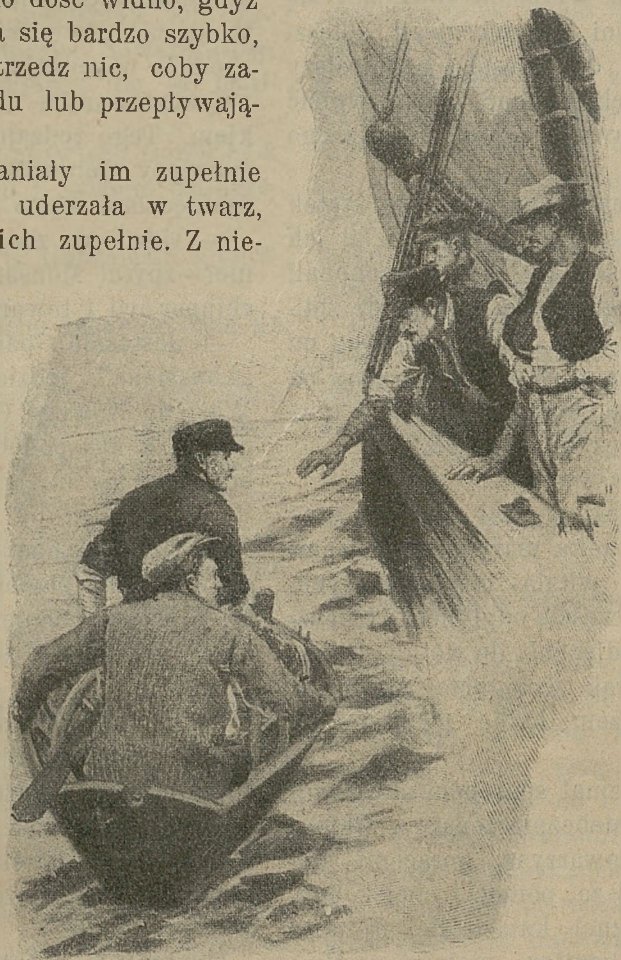
Zaczęło świtać, powietrze się ociepliło, a burza stopniowo cichła. Rzucili raz jeszcze wzrokiem na nieszczęsne miejsce; głęboko wzruszeni posłali ostatnie pozdrowienie zatopionym towarzyszom, wreszcie wsiedli do wątłej łódeczki. Nadspodziewanie szczęśliwie wypłynęli z pośród niezliczonych skał na pełne morze. Wpraw-

dzie kompasu nie posiadali, mogli się jednak doskonale orjentować podług słońca, które tylko co wzeszło.

Pomimo, że już było dość widno, gdyż na południu rozwidnia się bardzo szybko, nie mogli jednak dostrzedz nic, coby zapowiadało bliskość lądu lub przepływającego okrętu.

Wysokie fale zasłaniały im zupełnie widok, a słona woda uderzała w twarz, chwilami oślepiając ich zupełnie. Z niesłychanym wysiłkiem robili wiosłami, nie wiedząc nawet, czy rzeczywiście posuwają się naprzód; wielki ocean igrał małą łódką jak zabawką, przerzucając z fali na falę i zdawało się co chwila, że ją pochłonie.

Po kilkugodzinnej bezustannej pracy ręce zaczęły im omdlewać, wreszcie głód, a bardziej jeszcze pragnienie ostatecznie wyczerpały rozbitków. Znikąd nadziei ratunku, nigdzie ani żagla, ani komina, ani brzegu! Przemęczeni, złożyli wiosła i rozglądali się z rezygnacją po pustyni morskiej. Obydwaj zdecydowali się skoczyć do morza, aby położyć koniec tej beznadziejnej walce—nagle z piersi Monsarda wyrwał się radosny okrzyk, ręką zaś wskazywał na północ.



— Tam, prosto, dwa maszty, widzi pan?

Chmurzyński podniósł się o ile można było w kołyszącej się łódce i teraz dopiero zobaczył w pewnej odległości dwa czubki masztów, które to znikały za falą, to znów się ukazywały.

Wprawne oko Monsarda poznało zdaleka rodzaj statku.

— To dwumasztowiec — powiedział —

walczy z silną falą: jeśli się nie mylę, jedzie wprost na nas.

Rzeczywiście, po kilku minutach widać było już zupełnie wyraźnie zbliżający się statek. Mężczyźni przymocowali śpiesznie kurtki swe do wioseł i podniósłszy je w górę, poczęli machać, chcąc zwrócić tym sposobem uwagę załogi zbliżającego się statku.

Nagle przerażeni spostrzegli, że statek zmienia kierunek, jak gdyby chciał ich minąć. Na szczęście po chwili przekonali się, że statek manewruje, aby módz zbliżyć się do nich; a że ich dostrzeżono na statku, dowodziła zresztą wywieszona na głównym maszcie chorągiew, która w międzynarodowym języku znaczyła:

„Śpieszymy na pomoc”.

Wreszcie statek znalazł się tuż przy rozbitkach; gromadka marynarzy słowami pełnemi otuchy witała nieszczęśliwych. Silna fala na szczęście odpłynęła i łódeczka bez trudu podjechała do statku. Kilkanaście silnych rąk wciągnęło rozbitków na pokład, poczem łódkę uwiązano na lince.

Cudownym niemal sposobem uratowani ze strasznego niebezpieczeństwa, Chmurzyński i jego towarzysz, gorącemi słowami dziękowali za pomoc i chcieli opowiedzieć o strasznej katastrofie. Skipper (po angielsku kapitan małego statku) jednak z dobroduszną szorstkością kazał im milczeć, przedewszystkiem zalecając posilić się.

Monsard i Chmurzyński chętnie posłuchali, zgłodniali i spragnieni z wielkim apetytem rzucili się na podane potrawy, następnie wyciągnęli się na wskazanych matach i zasnęli snem twardym.

Kiedy obudzili się pokrzepieni, pogoda była prześliczna, jak gdyby pogodne niebo nic nie wiedziało o burzy, a lazurowe morze o niszczących falach. W niezwykle szerokich spodniach, z przyjaznym uśmiechem na brunatnej i opalonej od wiatrów twarzy, przyglądał się skipper swym gościom. Miał na sobie bardzo praktyczny kostjum, amerykanie nazywają go „overall” to znaczy „na wszystko”: są to szerokie spodnie w rodzaju fartucha, zakończone przymocowanym na szelkach napierśnikiem. Tego rodzaju „overall” noszą amerykańscy rzemieślnicy i robotnicy dla zaoszczędzenia sobie ubrania.

— Gdzie się znajdujemy, panie kapitanie?—spytał Monsard, przedstawiwszy się skipper'owi i towarzyszom.

— Jesteście panowie na pokładzie „Loussiana”, jedziemy z łabędziami z Key West do Nowego Orleauu. Sądzę, że się panom u nas podoba, zresztą za dwa dni będziemy na miejscu.

Big-Bill (gruby Willy), jak nazywali marynarze skippera, prosił rozbitków o opowiedzenie przebiegu strasznej katastrofy. Z zaciekawieniem i współczuciem słuchali zebrani o szczegółach zatonięcia „Loiry”.

Zacni ludzie czynili wszystko, co było w ich możności, aby uprzyjemnić pobyt strudzonym i wyczerpanym wzruszeniami gościom. Nie wiele wprawdzie mógł ofiarować mały statek, kucharz jednak ze skromnej swej śpiżarni przyrządził bardzo smaczny obiad.

Gdyby nie myśl o smutnym losie towarzyszy, która ich bezustannie prześladowała, czuli by się zupełnie dobrze wśród dzielnej drużyny marynarzy. Szczególnie Big-Bill wysilał się wciąż na rozmowę, pragnąc pocieszyć strapionych rozbitków.

Pomyślny wiatr i zupełny spokój towarzyszył dalszej podróży, a Chmurzyński, godzinami leżąc pod żaglem, wygrzewał się na słońcu i myślał o tem, co się stało i co się stać może dalej.

Cel podróży zdawał się chybionym, ponieważ Gonzales oddawna już będzie

w Vera-Cruz, zanim on przybędzie tam przez Nowy Orlean. Jedyną pociechą Chmurzyńskiego w tych niepowodzeniach było przeświadczenie, że znalazł w Monsardzie prawdziwego przyjaciela. Dla tego też postanowił opowiedzieć towarzyszowi nieszczęścia, co go skłoniło do tej fatalnej podróży.

Zaledwie wymówił nazwisko Gonzales'a, Francuz przerwał mu z żywem zainteresowaniem:

— Czy mówi pan o Gonzalesie z Vera-Cruz?

— Tak—odpowiedział inżynier—zna go pan może?

— Czy ja go znam!? — zawołał Monsard.—Razem chodziliśmy do szkoły i wychowywaliśmy się w Nowym Orleanie; to moje rodzinne miasto. Mój ojciec był francuskim kolonistą, zaś Gonzalesa przybył z Hiszpanji. Znam Gonzalesa tak dobrze, jak tylko znać można złego chłopca, którego psoty i figle znane są w całej okolicy.

Chmurzyński opiewiedział o wszystkiem, co się stało, rozpytując towarzysza, czy nie mógłby, znając tutejsze stosunki, udzielić jakiejś skutecznej rady.

Karol Monsard myślał przez długą chwilę:

— Wielkiej nadziei panu nie daję; jako cudzoziemiec, nie może pan ani w Meksyku, ani w Stanach Zjednoczonych prawnie poszukiwać ani też pociągać do odpowiedzialności zbiega. Musi pan działać na własną rękę, siłą lub podstępem, być własnym detektywem, a jeśli się uda schwytać złoczyńcę, trzeba będzie samemu być i sędzią.

— Może nawet dla sprawy pańskiej korzystniej jest przybyć teraz do Nowego Orleanu, zamiast do Vera-Cruz — dodał.— W Nowym Orleanie mieszka brat Alfonsa, Józef Gonzales; wiem dobrze, że wszystkie swoje nieczyste interesy załatwia w porozumieniu się z bratem. Jestem przekonany, iż wkrótce przybędzie do Nowego Orleanu, aby wspólnie z Józefem, który prowadzi tutaj niewielkie biuro okrętowe, skorzystać z pańskiego wynalazku. Uczynię. co tylko jest w mojej mocy, aby panu w tej sprawie dopomódz.

Młody inżynier podziękował towarzyszowi za dobre chęci i z niecierpliwością wyglądał chwili, kiedy nareszcie stanie na amerykańskim gruncie.

ROZDZIAŁ III.

Na południu Stanów Zjednoczonych.

Nowy Orlean jest jednym z najgłówniejszych miast na południu Stanów Zjednoczonych; główne zaś miasto stanu Luizjana leży przy ujściu Missisipi, o 65 kilometrów od miejsca, skąd olbrzymia ta rzeka licznemi ramionami wpada do zatoki Meksykańskiej. Nowy Orlean, jak wszystkie po większej części miasta amerykańskie, budowany jest bardzo prawidłowo; ulice wachlarzowato ciągną się ku rzece, która półkolem opasuje główną część miasta. W tem miejscu szerokość rzeki dosięga 1000 metrów i jest tak głęboka, że największe okręty mogą swobodnie podchodzić do samego miasta.

D. c. n.





MARYŁA ŻARSKA.

JAK TO U NAS NA WSI.

OBRAZEK SCENICZNY W 1-ej ODSŁONIE.

Ciąg dalszy.

Kazia. Opowiedzcie jeszcze co więcej o tej panience! Zbliżcie się, koło drzwi zimno.

Hanka. Wielmożna panienka pozwoli, to się przy piecu ogrzeję. Na świecie taki mróz siarczysty!

Jagusia. Zimno bo zimno, ale tak wesoło na duszy, że my się znowu tu do dworu dostali po trzech latach. Te same ściany na nas patrzą. Tylko naszej panienki już niema...

Mila. A gdzież jest teraz?

Jagusia. Gdzie? to my nie wiemy. Mówią ludzie, że ją pono wywieźli rodzice do ciepłych krajów.

Hanka (ociera oczy). A jak wyjeżdżała, to nam mówiła: „Nie płaczcie. Mnie serce mówi, że długo same nie będziecie. Tu druga panienka przyjedzie. Jeszcze lepsza, jeszcze godniejsza... i mnie zastąpi".

Jagusia. A matka powiedzieli dziś, jak wielmożną panienkę zobaczyli w kościele, że chyba aniołowie nam ją zesłali, bo taka do tej naszej ukochanej podobna.

Mila. Jak ona wyglądała?

Jagusia (wskazuje na Kazię). Wzrostu to była jak ta panienka. Oczy miała jak dwie jasne gwiazdy, biała na twarzy, jagody jej kwitły.

Hanka. I uczona była, i do wszystkiego sposobna. Jagusię i mnie wyuczyła kaftaniki krajać i szyć. My teraz prawie całą wieś obszywamy.

Jagusia. I koło kwiatków nauczyła nas chodzić. Mówią ludzie, że nasza wieś najweselsza, bo wedle każdego obejścia jest porządnie i tyle kwiecia.

Hanka. I mówiła, jak mamy izby ładnie utrzymać, jak dzieciaki czysto odziewać. Za dzieciakami przepadała!

Jagusia. W ochronce nieraz całe godziny przesiedziała. A jak długie wieczory nastawały przed adwentem, to zwoływała nas do szycia i czytała śliczne opowiadania.

Kazia. Musieliście ją bardzo kochać?

Jagusia. Jakże by, proszę wielmożnej panienki? My ją wszyscy we wsi nazywali słoneczkiem.

Hanka. A jak jej nie stało, to my teraz wciąż w smutku chodzimy i żalu; (zbliża się do Kazi) Panienko złota, bądź nam słoneczkiem, zastąp tę naszą dawną!

Kazia. Moja droga, czy ty naprawdę

sądzisz, że ja potrafię? mnie tak dużo jeszcze brakuje...

Jagusia. O! moja matka znająca jest. Wszyscy we wsi zaświadczą. Jak ona powiedziała, że panienka do niej podobna, to chyba tak być musi.

Kazia. Dobrze, moje drogie, postaram się trochę ją wam zastąpić. Nie dziwcie się, że z początku będzie mi trudno, ale może powoli i wy mnie polubicie.

Hanka. Panienko, my ciebie już dziś kochamy!

Jagusia. Już dziś serce nasze do ciebie ciągnie!

Kazia. Jutro przyjdziemy z moją kuzynką do waszej chorej babki. Może jej coś poradzimy. A przy tej sposobności poznamy się lepiej, pogadamy...

Jagusia. Dziękujemy panience. A teraz polecimy na wieś z wesołą nowiną.

Hanka. Ostańta z Bogiem, panienki. A niech ten Nowy Rok da wielmożnym panienkom tyle wesela, ile nam go sprawiły przez swoje dobre słowa.

Jagusia. Niech będzie pochwalony.

Kazia i Mila. Na wieki wieków.

(Dziewczyny wychodzą).

SCENA VIII.

Kazia, Mila.

Kazia. Wiesz, Milo, w głowie mi się mąci. Przed chwilą tak mi było dziwnie smutno, a teraz mam wrażenie, że te dzieci, że te dziewczęta zostawiły coś z tej swojej złotej gwiazdy.

Mila. Ze złotej gwiazdy i z opowiadań o tej dzielnej dziewczynie, co mieszkała w tych ścianach i której uczynki promienieją jeszcze dokoła nas.

Kazia. Jaka ona szczęśliwa, że potrafiła wzbudzić tyle miłości...

Mila. Odeszła, ale wciąż żyje w tych dobrych, prostych sercach.

Kazia. Milo, jak myślisz, czy ja będę mogła ją zastąpić? Czy potrafię żyć tak jak ona?

Mila. Zdaje mi się, Kaziu, że twoim obowiązkiem jest snuć dalej niteczkę przyjaźni i ufności, którą ona zadzierzgnęła pomiędzy wsią i dworem. Ona rozpoczęła śliczną pracę... Musisz wziąć po niej tę dostojną spuściznę.

Kazia. Sprobuję, Milo, a może moc tej dziewczyny doda mi siły. (Obydwie siedzą zadumane).

SCENA IX.

Ciż, Bogdan, Gucio, Jurek.

Bogdan. Zajechaliśmy tak cicho, że nawet nie przeszkodziliśmy zaklętym księżniczkom w ich marzeniach. Zbudźcie się! Oto stoją przed wami dzielni rycerze, którzy pragną was porwać. Tymczasem użyczcie im gościnności. (Wszyscy trzej salutują). Oto nasz najlepszy przyjaciel, Jurek, a to kochany Jurku, moja siostra Kazia i moja przemiła kuzyneczka, Mila.

Kazia (podając mu rękę). Tyle zawsze o panu słyszałam.

Mila. I mnie Gucio dobrze dla pana usposobił!

Gucio. Bo to, choć wielki ladaco, ale złote serce.

Bogdan. A jaki zakochany w swojem Zalesiu!

Jurek. Tak, kocham Zalesie z całej mocy. Wogóle kocham wieś polską i dowiedziawszy się, że panią tak przeraża tutejsza pustka i nuda, przyjechałem ją zapewnić, że i my tu żyjemy, pracujemy, o, i bawimy się nieraz.

Gucio. To racja. Wiesz Kaziu, jakie miłe i ładne trzy panny poznaliśmy u rodziców Jurka. Niczem Warszawianki!

Bogdan. O, ten zawsze o pannach!

Jurek. Ma rację, bo nasze panienki i ładne i wartościowe. Mówcie, co chcecie, ale ja zawsze twierdzić będę, że wieś wydaje zdrowych i dzielnych ludzi.

Gucio. Urągasz miastu!

Jurek. Broń Boże! Ale przyznaj: w mieście żyje się tak gorączkowem życiem, że nawet czasu niema zastanowić się nad sobą. A na wsi można wniknąć w siebie. Cicho tu, otacza nas cudna przyroda...

Bogdan. Tak, to wpływa ogromnie kojąco. Wiesz, Jurku, dzisiejsza przejażdżka po białych przestrzeniach dziwnie mnie miło do tej pustki usposobiła.

Jurek. A widzisz... zresztą poznajesz wieś polską w nieprzyjaznych dla niej okolicznościach, bo w zimie; choć dla mnie i ta pora ma urok niesłychany. Kiedy okiść na drzewach osiądzie, a niech ją jeszcze oświetli słońce, wygląda jakby kto wszystko potrząsnął srebrem i brylantami. A ten biały puszysty dywan na polach czyż nie przedstawia się imponująco? A przytem zima, to czas odpoczynku dla wieśniaka, pora zabaw. Urządzamy sobie wtedy zebrania sąsiedzkie, polowania, kuligi...

Bogdan. Tak, przypominam sobie kulig w Pohulance... Nigdy może się tak wesoło nie bawiłem. Śliczne stroje krakowskie, w których czuliśmy się tak swobodnie; miłe, gościnne przyjęcie twoich stryjostwa...

Kazia. Jednak myślę, że najprzyjemniej może być tu na wiosnę...

Jurek. Nie myli się pani. Na wsi maj jest prześliczny. Ta świeża zieloność... kwitnące kwiaty...

Mila. O, to cudowne!... kiedyś, dzieckiem będąc, spędziłam maj w Sandomierskiem u babki i do dziś dnia mam urocze wspomnienie dworku, który stał w ogrodzie, pełnym drzew owocowych, obsypanych białem kwieciem. Wyglądało to zdaleka jak olbrzymi bukiet...

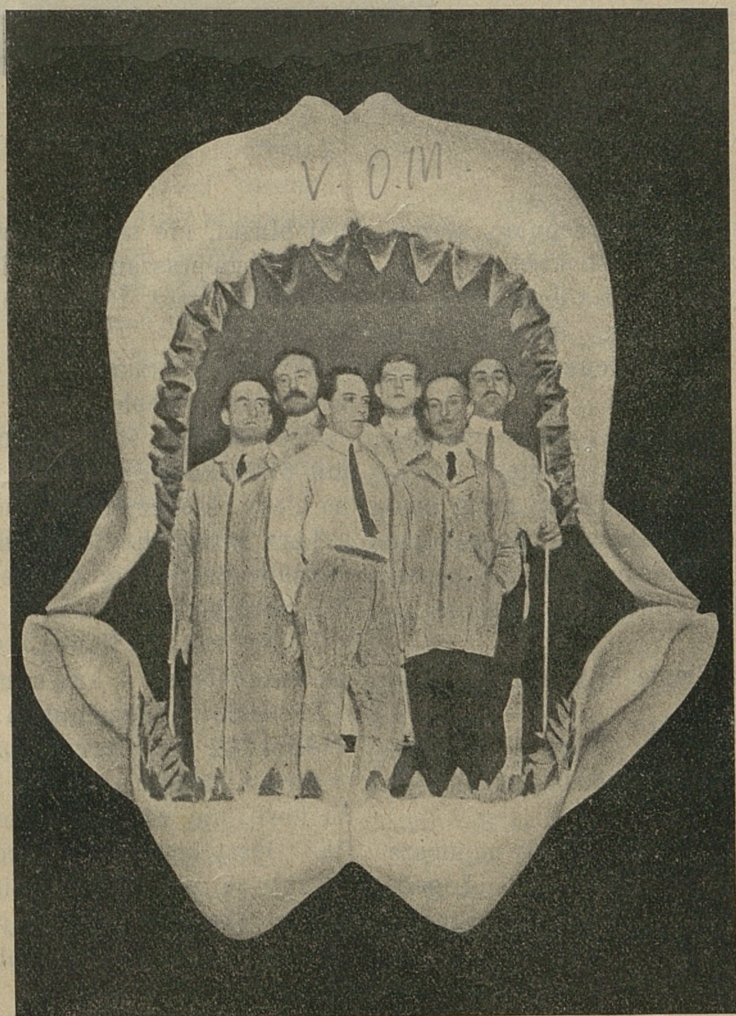
Jurek. Prawda? nie zapomina się takiego widoku. A gdyby pani tak jeszcze wczesnym rankiem pobiegła na łąkę, sperloną rosą, posłuchała świergotu ptactwa, odetchnęła świeżą wonią traw i ziół.. Nieraz, gdy przejeżdżam raniutko na mojej Feminie przez nasz stary las, mam wrażenie, że cała natura raduje się z powrotu do życia.

Mila. A lato? Przecież i lato musi być piękne?

Jurek. Lato, to najpracowitsza na wsi pora. Wtedy aż wre na polu od roboty, nie ma się chwili czasu!... Dopiero po zachodzie słońca, po dniu znojnie spędzonym, oddychamy całą piersią. Wieczory bywają śliczne. W lipcu lipy wydają woń przedziwną. Zaś w sierpniu wpatrujemy się w gwiaździste niebo i śledzimy spadające gwiazdy.

(D. n.)



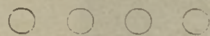


Olbrzymia paszcza i zęby przedhistorycznego wieloryba.
(Dla wykazania wielkości tej paszczy, grupa pracowników muzeum naukowego w New-Yorku, w którym znajduje się ten okaz — sfotografowała się w tem oryginalnem pomieszczeniu).



Marja Buyno

KOLEDZY.



Ciąg dalszy.

Michaś zerwał się i otrzepując starannie ubranie, starał się uspokoić.

— To są zwykłe figle koleżeńskie, jestem tu po raz pierwszy... dla tego mnie to może razi. Nie powinienem jednak unosić się...

Łatwo to powiedzieć – nie unosić się, lecz wykonać cokolwiek trudniej! Wokoło Michasia utworzył się duży krąg; spoglądano na niego ciekawie, wyczekując dalszego ciągu. Widząc spokojną postawę nowego kolegi, niektórzy czuli się zawiedzeni.

— Niedołęga! Ciepłe kluski! Niuńka! — mówiono półgłosem.

Nieszczęście chciało, że jakaś zabłąkana piłka, z impetem rzucona, trafiła Michasia w twarz!

Tego było już za wiele. Prysły najlepsze postanowienia, pierzchł rozsądek. Łagodne, niebieskie oczy zaiskrzyły się; rozżalenie, gniew nieprzytomny owładnęły chłopcem. Z zaciśniętemi pięściami rzucił się naprzód.

— Kto rzucił we mnie piłką?—krzyczał nieswoim jakimś, schrypniętym głosem.

— Ja! — odpowiedział cienki głosik i przed Michasiem zamajaczyła drobna jakaś figura, wystraszonemi oczami patrząc na starszego kolegę.

Wściekłość przesłaniała oczy chłopca; nie widział zalęknionego spojrzenia, mizernej twarzyczki, wyszarzanej, pocerowanej bluzki, nie słyszał nieśmiało wybąkanego—przepraszam! Pamiętał tylko uderzenie w twarz. Piłka, nie piłka—wszystko jedno!

W uszach brzmiały mu wciąż drwiące: Niedołęga! Ciepłe kluski! Niuńka!

Podniósł rękę i zanim ktośkolwiek zdołał mu przeszkodzić, cios silny boleśnie spadł na plecy chłopczyny, za nim drugi, trzeci...

Lecz w tej chwili gromadka starszych uczniów rzuciła się ku niemu, nie szczędząc kułaków.

— Fe! wstyd! Hańba! Czwartoklasista na wstępniaka! — krzyczano.

Michasiowi pociemniało w oczach, nie widział już nic. Jak maszyna, puszczona w ruch niszczącą siłą, bił, tłukł na prawo, na lewo, nie wiedząc gdzie i w kogo trafia. Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy poczuł na swem ramieniu jakąś dużą, ciężką rękę. Szarpnął się jeszcze ostatnim wysiłkiem, chcąc się oswobodzić, lecz był zupełnie obezwładniony...

Spojrzał dokoła; dziedziniec był prawie pusty. Ostatnie gromadki chłopców niknęły w bramie szkolnej. Koło niego stał niemłody mężczyzna i patrzył wzrokiem pełnym mocy. Michaś czuł, że pod tem spojrzeniem cofają się bezsilnie wszystkie rozhukane żywioły, które nim owładnęły, pierzcha gniew, wściekłość, że stał się słaby, nędzny, mały...

— Chodź za mną!

Posłusznie, jak cień, posuwał się za swoim przewodnikiem, ze spuszczoną głową, pełną szumu, hałasu, okrzyków, ciężką dziwnie i dziwnie—obcą.

— Jakby nie moja! — przemknęła myśl szybko, lecz wnet znikła.

Weszli do dużego pokoju, ze stołem, pokrytym zielonym suknem pośrodku.

— Umyj się i przyprowadź do porządku ubranie.

Michaś spełnił rozkaz, jak automat. Przyzwyczajony do nadzwyczaj dbałego obchodzenia się z ubraniem, ubierający się zawsze starannie i teraz, mimo całego zamętu i chaosu, z których otrząsnąć się nie mógł, obmył porządnie twarz i ręcę, strzepnął kurz z ubrania, nawet paznogcie wyczyścił pilnikiem.

Nauczyciel obserwował go uważnie, choć nieznacznie. Na jego rozumnej twarzy znać było pewne zdziwienie.

— A teraz powiedz mi, jak się nazywasz?

— Michaś Strzębosz! — odpowiedział chłopiec cicho, nie podnosząc oczu.

— Ile masz lat?

— Dwanaście skończonych.

— W której jesteś klasie?

— W czwartej.

— Jak dawno chodzisz do szkoły?

— Dziś tu jestem po raz pierwszy...

Tu głos chłopca załamał się; coś, jakby jęk, wyrwało się z gardła.

— Ah, tak! Dawniej gdzie się uczyłeś?

— W domu.

— Tu, w Warszawie?

— Od roku w Warszawie.

— A przedtem?

— Mieszkałem w Tomsku.

Nauczyciel patrzył bezustannie na chłopca. Jego zachowanie, głos, sposób mówienia, to coś wreszcie nieuchwytnego, a co się określić słowami nie da, a co nieraz bardzo wymownie pociąga lub odpycha od człowieka, nie licowało z tem, czego był świadkiem na dziedzińcu szkolnym.

— Spójrz-no na mnie, chłopcze!

Michaś zadrżał, lecz i tym razem był posłuszny i nauczyciel zobaczył przed sobą parę oczu niebieskich, zamglonych, jakby nieprzytomnych, lecz taki w nich mieścił się ból, taka męka, takie udręczenie, iż surowa dotąd twarz pedagoga zmieniła się zupełnie.

— Opowiedz mi, o ile możesz, jak się to stało.

A gdy chłopiec milczał, mimo widocznych wysiłków, by coś powiedzieć, mówił:

— Dokuczali ci zapewne, wyśmiewali się, jako z nowicjusza, drwili, nadawali może jakieś przezwiska? Tak, to zwyczajna rzecz i nigdy nie należy się tym zbytnio przejmować. Tu w szkole mamy przeważnie dobrych chłopców i dobrych kolegów. A że po kilkugodzinnem siedzeniu bez ruchu bawią się na dziedzińcu trochę dziko, temu dziwić się nie można tak bardzo. Pilnujemy tylko, żeby sobie krzywdy nie robili... i to, co dzisiaj zaszło, zdarza się niezmiernie rzadko... Widzisz, mówię z tobą, jak z człowiekiem dorosłym, nie gniewam się na ciebie, ani cię potępiam, chciałbym tylko wiedzieć, co cię doprowadziło do takiego wybuchu.

Łagodny ton nauczyciela, jego wielka dobroć podziałały niespodziewanie na chłopca. Dotąd oszołomienie jakieś nie pozwalało mu zdawać sobie dokładnie sprawy z tego, co zaszło; teraz dopiero we właściwem świetle przedstawiło mu się jego postępowanie, a jednocześnie uderzył w niego, jak grom, kontrast między jego marzeniami o pierwszym dniu w szkole a rzeczywistością.

— A tak pragnąłem ich kochać... wszystkich... — wykrzyknął głosem, pełnym bezbrzeżnej rozpaczy.

— Rozumiem cię. Z innemi myślami

szedłeś do szkoły, inaczej się stało w rzeczywistości. Tak często bywa w życiu. Lecz to, co dziś wydaje ci się wielkiem nieszczęściem, w gruncie rzeczy jest tylko chwilową chmurą. Słońce zaświeci, widnokrąg się rozjaśni i znów będzie dobrze. Sursum corda, chłopcze! Zostawiam cię samego, wypłacz te łzy, które cię duszą...

— Mężczyzna... nie płacze...— z trudem tłumiąc szlochanie, wyjąkał Michaś.

— Płakać o byle co nie powinien nikt; lecz są czasami łzy gorzkie, palące, które, zatrzymane przemocą, mogą zatruć serce, przepalić duszę. Wierz memu doświadczeniu: męzkość twoja nie ucierpi na tem, jeżeli tu, gdzie nikt cię nie zobaczy, wyrzucisz ze siebie żal i resztę gniewu.

Michaś nie słyszał już słów ostatnich, nic już powstrzymać nie mogło łez, które jak sznur pereł spadały po zbladłej, wymęczonej twarzy.

Nauczyciel tymczasem wszedł do klasy czwartej, gdzie miała za chwilę zacząć się lekcja.

— Chłopcy, mam do was ważny interes. Czy możecie mnie posłuchać uważnie?

— Naturalnie, prosimy, niech pan będzie łaskaw mówić!—zabrzmiały zewsząd głosy.

Pan Kański, profesor polskiego, cieszył się specjalną sympatją uczniów. Surowy, wymagający, pociągał jednak do siebie młode serca, które wyczuwały w nim serdecznego przyjaciela młodzieży.

— Otóż, chłopcy, zaszedł dziś niemiły wypadek z waszym nowym kolegą..

W klasie dał się słyszeć pomruk niechętny...

(D. c. n.).



KRONICZKA.

△ Na terenie wojny nowe zaszły zmiany. Z groźną postawą wystąpiła Rumunja, mobilizując wszystkie swe wojska i domagając się od Bułgarji przyznania pewnych terytorjów. Wpłynęło to znacznie na przewlekanie narad pokojowych, gdyż Turcja, porozumiawszy się z Rumunją, stawia opór w wykonaniu żądań państw bałkańskich.

△ W Wilnie wydano rozkaz, ażeby stróże domów zwracali się do publiczności wyłącznie w języku rosyjskim.

△ Opracowano nowe prawo, ograniczające prawo Polaków w gub. Bessarabskiej i kraju południowo-zachodnim.

△ W Pradze Czeskiej odbył się olbrzymi wiec polsko-czeski, na którym liczni mówcy gorąco protestowali przeciwko wywłaszczeniu Polaków w Poznańskiem przez Prusaków.

△ Młody a znany już chlubnie wynalazca polski, p. Mieczysław Keller, o którym już pisaliśmy w roku zeszłym, dokonał nowego wynalazku, zabezpieczającego mieszkanie od kradzieży. Połączony jest on z centralną stacją telefoniczną, alarmując ją natychmiast o każdem wtargnięciu nieproszonych gości.

△ Polski inżynier, p. Apoznański, dokonał wynalazku najlżejszych akumulatorów „Rex”, które znajdą wielkie zastosowanie w przemyśle.

△ W Warszawie, w szpitalu św. Rocha, zmarł na suchoty młody a bardzo uzdolniony artysta-malarz, ś. p. Edward Gładysław. Zapowiadał wiele, lecz bieda, z której wywiązała się zabójcza choroba, przerwała pasmo jego życia.

△ W Warszawie zmarła ś. p. Marja z Grosserów Szlenkierowa, wdowa po znanym przemysłowcu i obywatelu tutejszym, ś. p. Karolu. Zmarła, dzięki swej dobroczynności, zapisała się bardzo dobrze w kronikach naszego miasta. Wiele instytucji filantropijnych zawdzięcza jej istnienie swoje.

△ W Petersburgu zmarł ś. p. Jan Ciągliński, artysta - malarz, profesor miejscowej akademji sztuk pięknych. Obrazy jego cieszyły się ogólnem uznaniem.

△ W Warszawie zmarł w 70-m roku życia ś. p. ks. Antoni Brykczyński, zasłużony kapłan i literat. Zmarły kapłan pozostawił cały szereg prac literackich, zarówno w sprawach kościelnych, jak i społecznych.

„O własnych siłach“.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Stasia G. z ul. Żelaznej.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znakomitego polskiego poety.

Sylaby: a, wi, tra, i, ko, szu, ło, u, sa, pa, djusz, ja. kwa, cy, rat, ma, o, ur, drat, lo, za, ne, tysz, wi, nów, ja, bek, ra, sła, tra, ri, mon, rzą, bre, la, lin, ro, som.

Znaczenie wyrazów:

1. Miasto powiatowe w gub. Lubelskiej.
2. Imię żeńskie.
3. Ryba.
4. Ptak.
5. Nazwa jednego z kantorów szwajcarskich.
6. Imię króla żydowskiego.
7. Miejsce kuracyjne dla chorych.
8. Kapelusz hiszpański.
9. Człowiek z plemienia litewskiego.
10. Poeta starożytnych rzymian.
11. Rzeka w Królestwie Polskiem.
12. Wierzchołek gór Kaukazu.
13. Instrument muzyczny.
14. Figura geometryczna.
15. Wodospad w Finlandji.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Gienię J. z Sieradza.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 11 wyrazów których początkowe litery czytane z góry na dół utworzą imię i nazwisko króla polskiego.

Sylaby: e, ce, ce, i, lan, ga, be, ir, blja, a, u, a, ków, słoń, no, ro, ni, ko, kra, tyk, ki, sy, dja, jab, pa, ri, rja, o, dwi, tlan, rys.

Znaczenie wyrazów:

1. Imię żeńskie.
2. Ocean.
3. Miasto nad morzem Śródziemnem.
4. Ciało niebieskie.
5. Rzeka w Ameryce północnej.
6. Inaczej Pismo Święte.
7. Kraj w Europie.
8. Część świata.
9. Kraj w Azji.
10. Miasto w Galicji.
11. Kwiat.

GAWĘDKA LISTOWNA.

Adasiowi Św. z Borkowicz. «Niewidzialni» skończeni są w numerze 52-im. Na rok bieżący mamy przygotowane jeszcze więcej zajmujące powieści. Dodatek książkowy za Październik, jak również Nr. 41, został już wysłany.

Baśce R. Szaradę pierwszą przyjmuję; dru-

ga, podpisana literami J. R., jako rzecz dawno ułożona i ogólnie znana, zamieszczoną być nie może.

Jana S. z Brodów jedną łamigłówkę umieszczę.

Towarzysza Pancernego łamigłówek umieścić nie mogę.

Esterze i Guci Wol. Rozwiązania jednej łamigłówki z każdego numeru jest niedopuszczalne; dlatego oba rozwiązania zostały zapisane na jedno imię.

Złotej Myśli rozwiązania były trafne, szkoda tylko, że ich nie można nadsyłać regularnie. Ochronka jest zapełnioną szczelnie, dziatwa robi wielkie postępy. Łamigłówkę przyjmuję, lecz musi trochę poczekać na swoją kolej.

Dlaczego *Puma z Wilczej* tak późno się namyśliła na pseudonim? Trzy pierwsze numery zostały wpisane na dawne imię.

«Łobuzowi». Wierszyk drukowanym być nie może.

K. Kiersnowskiej w Wilnie. Wysyłka dodatków na kwartał IV została wstrzymaną, gdyż nie były opłacone.

H. Jagodzińskiego łamigłówkę przyjmuję

Złotą Myśl z Remiszewic prosimy o dokładny adres, a jeśli dodatki były opłacone, zaraz będą wysłane

Nemo. Łamigłówkę umieszczę, choć nieprędko. Wzmiankowany utwór w przyszłym półroczu będzie drukowanym. J. Kruk jest pseudonimem znanego autora zajmujących powieści dla młodzieży, E. Krügera.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 50-go nadesłali: Mieczysław Königsberg, Hania Przegalińska, Janek Drozdowski, Puma z ul. Wilczej.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 51-go nadesłali: Płomyk z Bierwienciszek, Jadzia i Anusia Sz. z ul. Chłodnej, Biały Orlik, Puma z ul. Wilczej, Trzy siostry z ul. Polnej, G. Goldwasser, Genia Zweigenhaft, Henia Przegalińska, Zosia Nowicoa, Halina Mieczkowska.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 52-go nadesłal: Hania Przegalińska, Jadzia i Anusia Sz. z ul. Chłodnej, Biały Orlik, Puma z ul. Wilczej, A. Baraniecki, Irenka M. z ul. Kopernika.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 1-go nadesłali: Luto Simon, Jadzia i Anusia Sz. z ul. Chłodnej.

Rozwiązanie łamigł. sylabowej z Nr. 50.

1. Apelles
2. Niemcewicz
3. Tyberjusz
4. Odyniec
5. Nogat
6. Indus
7. Prószyński
8. Ozyrys
9. Pelikan
10. Łuszczewska
11. Abisynja
12. Wielokąt
13. Smoleńsk
14. Kozeta
15. Izera

Antoni Popławski.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 50.

1. Adrjanopol
2. Rumelja
3. Tyrnowo
4. Uskub
5. Rumunja
6. Grecja
7. Ryga
8. Olimp
9. Tauryda
10. Turcja
11. Galacz
12. Eubea
13. Ren

Artur Grottger.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Wszyscy prenumeratorzy otrzymują co miesiąc książkę bez żadnej dopłaty.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3